

Beata
Stelmach-Kutrzuba

Znakomity tekst w kiepskiej inscenizacji – tak najkrócej można podsumować to, co widzowie zobaczyli na scenie Tarnowskiego Teatru podczas listopadowej premiery „Antygony w Nowym Jorku”. Brak pomysłu na wystawienie dramatu Janusza Głowackiego to jeden, choć podstawowy grzech twórców tarnowskiego spektaklu. Przy nim aktorskie potknięcia, niedouczony tekst to tylko detale składające się na całość wątpliwej jakości. A szkoda!

Sztuka Janusza Głowackiego to przejmująca opowieść o trójce bezdomnych emigrantów kocujących w nowojorskim Tompkins Square Park. Jej bohaterowie: rosyjski Żyd Sasza – niegdyś utalentowany artysta-malarz, Polak Pchełka – niewykształcony cwaniak, alkoholik i epileptyk, Portorykanka Anita, która wraz z matką przyjechała do Nowego Jorku, by dorobić się pieniędzy na mały sklepik w ojczystym kraju, pochodzą z różnych stron i środowisk, ale sporo ich łączy. Wszyscy przybyli do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia, nadziei na spełnienie marzeń i mimo że los nie był dla nich łaskawy, wiara, że się odmieni, nie opuszcza ich, pozwala przeżyć. Snują więc nierealne plany na przyszłość, zawiązują przyjaźnie, nawiązują romanse. Nade wszystko jednak nie tracą poczucia własnej godności, choć egzy-

„Surowizna” na premierze

stują w warunkach, w których niełatwo ją zachować.

Zaletą dramatu są świetne dialogi i genialne pomieszenie konwencji. Nawiązania do antycznej tragedii – takie jak zachowanie jed-

chany Anity, a ona, chcąc urządzić mu pogrzeb, prosi Saszę i Pchełkę, by wykradli jego zwłoki z cmentarza dla bezdomnych. Ci przystają na jej plan i wydaje się, że uda im się z powodzeniem go zrealizować.

Wydaje się, że dobrze skonstruowaną fabułę, znakomite dialogi, z których wyłaniają się intrygujące portrety postaci, ich przeżycia i odczucia, niełatwo jest zaprzepaścić na scenie. A jednak ta

trudna sztuka udała się twórcom tarnowskiego spektaklu. Oczywiście tekst nadal pozostaje genialny i być może na to liczył reżyser Tomasz Piasecki, nie czując się w obowiązku zadbać o takie szczegóły, jak muzyczna oprawa przedstawienia, dopracowanie ruchu scenicznego i aktorskiego przygotowania, o innych detalach, jak np. kostium policjanta Murphye’go nie wspomi-

nając. Niektóre pomysły reżyserkie wprowadzają natomiast w błąd – gaszenie i zapalanie światła to prosty i mało oryginalny sposób oddzielania w teatrze scen czy epizodów, ale w tym przypadku się nie sprawdza, niszczy autorski zamysł jedności czasu, sprawiając mylne wrażenie rozciągnięcia akcji na kilka dni i wieczorów.

Aktorzy – Mariusz Szaforz (sierżant Jim Murphy) i Marian Jaskul-

ski (Pchełka) – ratują się na scenie rutyną. Mniej sprytnie tekstowe wpadki tuszuje Monika Kufel, aktorka najmniej doświadczona w całej obsadzie. Najlepiej zdecydowanie wypada sam reżyser w roli Saszy. Gwoli sprawiedliwości trzeba odnotować, iż koncepcje zagrania poszczególnych ról są wyraziste, tyle że przydałoby się jeszcze parę prób przed zaprezentowaniem ich publiczności. O kreacji Jerzego Ogrodnickiego w roli trupa trudno się wypowiadać, bo sam pomysł posadzenia go na scenicznej ławeczce wydaje się raczej makabryczny i niczemu nie służący. Cóż, ten przynajmniej nie mylił się w tekście.

Widzowie zobaczyli, że użyję przemysłowego słownictwa, produkt surowy i niewykończony, a ponadto wołający o oprawę muzyczną i bardziej wyrafinowaną reżyserię. Odnosiło się wrażenie oglądania próby, a nie premirowego spektaklu. Mizerne brawa, jakimi publiczność obdarzyła jego twórców, mówiły same za siebie. Wszak tarnowscy miłośnicy sztuki teatralnej mieli świeżo w pamięci bardzo dobrą inscenizację „Antygony w Nowym Jorku”, pokazaną w MCK przez Teatr Ludowy z Krakowa równy rok temu i podobnego poziomu realizacji scenicznej zapewne oczekiwali od Tarnowskiego Teatru.



Monika Kufel, Tomasz Piasecki i Marian Jaskulski w „Antygonie w Nowym Jorku” na tarnowskiej scenie

ności czasu i miejsca, przeplatanie się scen dialogowych i komentarza na wzór epejsodionów i stasimonów, a nade wszystko zapożyczenie od Sofoklesa motywu fabularnego pogrzebania zwłok wbrew prawu – zasygnalizowane także w tytule – zderzają się z niskim statusem społecznym bohaterów, wulgarnym językiem, jakim się posługują, oraz komicznym finałem wieńczącym dramatyczną sytuację. Bo oto umiera John – uko-

Niestety, przez pomyłkę przynoszą do parku niewłaściwe ciało – robi się i strasznie, i śmiesznie. Co pewien czas między kolejnymi epizodami na scenie pojawia się policjant patrolujący podległy mu rewir, pełni w sztuce rolę podobną do tej, jaką w starożytnej tragedii odgrywał chór i jego koryfeusz zarazem. Reprezentuje jednocześnie państwo i oficjalne prawo, ale o bezdomnych wyraża się życzliwie, komentując zdarzenia.